

Triumf nadludzi

30 czerwca 2013

„Człowiek miarą jest wszechrzeczy” – to dumne wyznanie antropocentryzmu przestaje być drogowskazem naszych czasów. Dziś Protagorasa zastępuje Nietzsche z jego rojeniami o nadczłowieczeństwie. To już nie tylko marzenia szalonego filozofa, nie tylko chałupnicze próby XIX-wiecznych eugeników i XX-wiecznych nazistów – obecnie za projektowanie i produkcję supermenów bierze się nauka z błogosławieństwem rządów i korporacji.

Cel jest – jak zawsze – szczytny: udoskonalenie człowieka. Któż nie chciałby być mądrzejszy, zdrowszy, piękniejszy? A jednak mnie, uznającego człowieka za jedyny praktyczny (bo weryfikowalny) punkt odniesienia, pomysły „przewycięzania człowieczeństwa” poprzez modyfikacje genetyczne czy cyborgizację przerażają.

Mamy tu do czynienia z najskrajniejszym jak dotychczas projektem zmiany ludzkiej natury. Próby takie podejmowane były od dawna, dotychczas wszakże opierały się na lamarkistowskiej teorii o decydującej roli środowiska i przeświadczeniu o plastyczności ludzkiej natury. Mówiąc w skrócie: wierzano, że zmieniając otoczenie człowieka, zmieni się zasadniczo jego samego. Na ogół jednak te próby kończyły się fiaskiem. Skutki rzadko odpowiadały zamiarom. Inżynieria społeczna budzi więc uzasadnioną nieufność.

W tej sytuacji Poprawiacze Człowieka skapitulowali przed nieprzyjazną rzeczywistością, po cichu wycofując się z dogmatu o naturalnej dobroci ludzi. Postanowili pójść na skróty: po co zmieniać ustrój, kulturę, stosunki międzyludzkie – zmienimy człowieka. Zdecydowali się na „ucieczkę do przodu”, wspierając inżynierię społeczną inżynierią genetyczną. Postanowili połączyć Lamarcka z Darwinem, zasadę środowiska z zasadą genotypu, „ziemię” i „krew”. Ta synteza ma dać nam Człowieka

Doskonałego.

Ale doskonałe jest wrogiem dobrego. Jak przypomina nam ludowa mądrość, dobrymi chęciami piekło wybrukowano. Projekt ten może być atrakcyjny dla ludzi, którzy za każdą cenę chcą uciec od samych siebie, problemem jest jednak właśnie ta – każda! – cena. Projekt transhumanistyczny jest najskrajniejszą formą uprzedmiotowienia człowieka, który okazuje się być nawet nie narzędziem, lecz tworzywem. Człowiek ma się wyrzec swej istoty, swego człowieczeństwa w imię... no właśnie – w imię czego? W imię jakich wartości? Kto miałby prawo narzucenia innym swojego wzoru? Jak miałby wyglądać nadczłowiek?

Kto decydowałby o kierunku transhumanistycznej ewolucji człowieka. Rodzice? Nietrudno sobie wyobrazić, że znaczna część (w Polsce pewnie większość) postanowiłaby, iż dzieci mają „umieć sobie radzić w życiu”, więc wszczepiłaby im gen „przebojowości”, tj. chamstwa, cynizmu, interesowności, egoizmu. Każdy sam, wedle swej fantazji? To doprowadziłoby do wykształcenia się wielu odmiennych – niekompatybilnych, być może wrogich – gatunków. Stanisław Lem w „Podróży XXI” Ijona Tichego opisuje w humorystyczny, acz wielce prawdopodobny sposób historię społeczeństwa sterującego swoją ewolucją biologiczną. To może państwo? Ale w myśl jakiej ideologii? W imię jakich wartości, wedle jakiego wzoru ludzkość miałaby być przekształcana? Chrześcijańskiego? Muzułmańskiego? Buddyjskiego? Faszystowskiego? Anarchistycznego? Komunistycznego? Liberalnego?

Transhumaniści lewicowi (daruję sobie dyskusję z neonazistami z Euvolution.com, śniącymi o aryjskim Homo galacticus) oczywiście mają nadzieję na stworzenie człowieka pasującego do ich wizji społeczeństwa egalitarnego. Jak to jednak osiągnąć? Czy równość totalna nie jest możliwa tylko przy jednakowości? Jeśli tak, to jest po prostu niecelowa. Społeczeństwo istnieje dlatego, że istnieje podział pracy; podział pracy wynika ze zróżnicowania ludzi. Jeśli zaś np. wyhoduje się istoty, które same siebie będą mogły zapładniać, to przestanie istnieć

rodzina. Nie będzie nie tylko ludzi, ale i społeczeństwa oraz będącej jego wytworem kultury, tylko jakieś zbiorowisko monad. Równość jest ważną wartością, ale nie na tyle, żeby poświęcać dla niej swe niedoskonałe człowieczeństwo. Żadna wartość nie jest warta tego, by dla niej poświęcać inne wartości.

To jednak i tak puste rozważania. Lewica pozostaje w głębokim kryzysie, od trzech dekad znajduje się w defensywie i realnych szans na wdrożenie swego projektu nie ma. A to oznacza, że dominująca ideologia neoliberalna będzie kształtowała człowieka na wzór i podobieństwo swoje. Nietrudno się domyślić, że Człowiek Idealny ucieleśni się w postaci Idealnego Konsumenta albo Idealnego Robotnika, być może też Idealnego Żołnierza, Idealnego Błazna, Idealnej Prostytutki. Człowieczeństwo zostanie zredukowane do jednej z funkcji. Powstałoby społeczeństwo zróżnicowane na wzór termitiery. Tak wyglądałby świat, gdyby to w latach 1930. istniały możliwości inżynierii genetycznej i ludzkość została uformowana według panujących wówczas ideałów.

Być może w jakimś idealnym społeczeństwie transhumanizm miałby sens. Teraz to jest bomba atomowa. Hodowanie ludzi daje każdej władzy w ręce najpotężniejszą broń, jaką można sobie wyobrazić. Po wydarzeniach w NRD w 1953 roku Bertolt Brecht napisał wiersz, który głosił, że naród zawiódł zaufanie rządu i rząd postanowił ten naród odwołać. Była to poetycka wizja rozśmieszająca swoją absurdalnością, ale inżynieria genetyczna pozwoli ją urzeczywistnić. Bo chyba nie ulega wątpliwości, że o kierunku ewolucji decydować będzie elita finansowa, klasa polityczna, „Grupa Trzymająca Władzę”.

Na pewno nie cała ludzkość dokonałaby jednoczesnego przekształcenia: część nie chciałaby, części może nie byłoby stać. Inżynieria genetyczna – jak każda nowość – byłaby początkowo dostępna tylko dla nielicznych, dla elity. Czy elita zechciałaby poczekać na resztę? Wątpliwe. Raczej zapewniłaby swojemu potomstwu status nadludzi. Co stałoby się wówczas z nieprzekształconą częścią ludzkości? Obawiam się, że

spotkałby ją los Tasmańczyków wytępionych w XIX wieku. Nie sądzę, by nadludzie traktowali ludzi lepiej niż ludzie traktują się nawzajem.

Dziś człowieczeństwo to jedyny pewny grunt, jedyny punkt odniesienia, jedyny wspólny mianownik. Wartości są zmienne, wtórne, względne. W sytuacji kryzysu humanistycznej Utopii, w sytuacji dogorywania religijnej Tradycji, ludzka natura z jej atawizmami to już naprawdę ostatni szaniec broniący świata przed zapędami inżynierii społecznej – wszystko jedno: totalitarnej czy wolnorynkowej.

Sprzeciw wobec transhumanizmu wynika więc z tych samych powodów co sprzeciw wobec totalitaryzmu. Wrogość do transhumanizmu ma też wspólny – humanistyczny – mianownik z antykapitalizmem: kapitalizm zdegradował człowieka z pozycji wartości najwyższej, zastępując go zyskiem, transhumanizm natomiast człowieka zastępuje nadczłowiekiem.

Marzenie wszelkich totalitaryzmów – Nowy Człowiek –urzeczywistnić ma się jako człowiek GM0. Homo perfectus będzie gatunkiem odmiennym od naszego. Cieszyć się z tego mogą tylko mizantropi – tylko czy mizantropia jest do pogodzenia z lewicowością?

Na tym tle najmniej ważną jest obawa o niezaplanowane uboczne skutki nieudanych eksperymentów (jakieś epidemie, kalekie mutanty itp.)...

Oczywiście wobec tych wszystkich zastrzeżeń pozostaje jeszcze jeden, ostateczny argument – o nieuchronności transhumanistycznej ewolucji. Osobiście pozostaję sceptyczny wobec koncepcji zdeteminowanego jednokierunkowego „postępu”. Uważam to za wdrukowany w naszą świadomość Oświeceniowy schemat, któremu raz po raz zaprzeczają fakty. Nieuchronne nie znaczy dobre – wiele faktów, jak globalne ocieplenie czy wymieranie gatunków, wskazuje, że zmierzamy ku katastrofie, a ludzie Zachodu żyją wiarą w „postęp”. Poza tym dopóki coś się

nie wydarzy, dopóty nieuchronność tego nie została dowiedziona.

Lewica od dekad stoi w rozkroku, który staje się coraz bardziej bolesnym szpagatem. Ma dwa zobowiązania: iść z postępem oraz bronić słabszych. U fundamentów lewicowości leży przekonanie, że te dwa cele są tożsame lub zbieżne, albo przynajmniej niesprzeczne – że postęp pomaga słabszym. Tymczasem od początku Epoki Globalizacji zmiany idą w kierunku przeciwnym do lewicowych ideałów. W swej ostatniej książce Günther Wallraff pisze, że zaczynając pracę ponad czterdzieści lat temu, miał nadzieję, iż świat zmienia się na lepsze. Obecnie zauważa tendencję odwrotną – wzrost niesprawiedliwości i pogorszenie stosunków międzyludzkich. Mamy coraz mniej bezpieczeństwa, coraz mniej solidarności, coraz większe rozpiętości majątkowe. „Postęp” jest bezlitosny dla tych, którzy za nim nie nadążają. „Postęp” gnębi słabych.

Rozwój biotechnologii te podziały pogłębi. To już nie będzie walka klas, lecz walka odmiennych biologicznie gatunków. Słabsi przegrają. Wyginą. Na tym polega „postęp”.

Wszak tak nauczał Darwin. Tako rzecze Zaratustra.

Autor: Jarosław Tomasiewicz

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

O AUTORZE

Jarosław Tomasiewicz (ur. 1962) – doktor nauk politycznych, pracownik naukowy Instytutu Historii Uniwersytetu Śląskiego, publicysta, autor książek „Terroryzm na tle przemocy politycznej (zarys encyklopedyczny)” (2000), „Między faszyzmem a anarchizmem. Nowe idee dla nowej ery” (2000), „Ugrupowania neoendeckie w III Rzeczypospolitej” (2003) i „Zło w imię dobra. Zjawisko przemocy w polityce” (2009), a także wielu tekstów publicystycznych i naukowych. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.